

KRONIKA TYGODNIOWA.

Ostatecznie udało się nam jakoś przeżyć pierwszy miesiąc zimy, gdyż listopad ma się już ku końcowi, gdy to piszę, a będzie należał do przeszłości w chwili, gdy *Nowości Ilustrowane* znajdą się w rękach Czytelników.

Zima, jak gdyby nie wiedząc o tem, że brak węgla, drzewa, nafty, ciepłych ubrań, chleba, maki, ziemniaków, cukru, mięsa, tłuszczów i t. d., wzięła się do nas na ostro wbrew zapowiedzi góralskich meteorologów, a popuściła dopiero przy samym końcu miesiąca. Bóg jeden jeden chyba wie, na jak długo.

W poprzedniej kronice narzekał autor na „pryjemności zimy“ i nie spodziewał się bynajmniej, że, zanim ona opuści prasę drukarską, będziemy mieć chiapawicę i tonąć w błocie. A kto wie, czy to nie gorsze, zwłaszcza dziś, kiedy posiadacz catych butów należy do rzadkości, a operatorzy, zajęci leceniem ich fistyli, podnieśli znów ceny, aby pokryć kosztą poprawy bytu swych pracowników, no i... aby i dla nich samych coś zostało.

Niema poprostu tygodnia, aby coś nie podrożało, każdy poprawia swój „byt“, a biedny konsument, o ile nie jest masarzem, piekarzem, kupcem, restauratorem, krawcem, szewcem i t. d., trzyma tylko rękę w kieszeni i pyta, kiedy też będzie koniec.

I, chyba się nie pomyli, jeśli powiem, że nie jeden z pośród nas, zdanych na łaskę i niełaskę wyżej wymienionych prześladowców, byłby może i zadowolony, gdyby się spełniła przepowiednia owego amerykańskiego astronoma, który kazał się nam przygotować na różne awantury w czasie od 17. do 20. grudnia, kiedy ma nastąpić w górnych sferach spotkanie się planet, co znów na ziemi ma wywołać trzęsienia, oberwane chmury, huragany i t. d. (próbne trzęsienie odbyło się już w dniu 18. listopada w Kalabrii... przyp. zecera). Ziemia może wówczas bardzo łatwo znaleźć się w owej dziurze, jaka się zrobiła na słońcu, czyli, że, doczekamy się końca świata, a z nim i końca biedy.

Pomny zasady krakowskiego pana fizyka, który swojego czasu wołał: „Mimo przeciwności nie upadaj nigdy na duchu!...“, pociesza się kronikarz, że, co się tyczy owego końca świata, to może tak źle nie będzie, bo to amerykańscy uczeni lubią się często mylić, ponadto nie pisał o tem dotąd nasz *Kuryerek*, z nie pominąłby z pewnością sposobności zawiadomienia o tem P. T. Czytelników, gdyby coś na tem było. Nadto i z tego powodu wypadałoby sobie życzyć, aby się to nie stało, iż na koncu grudnia obiecał Rząd wypłacić urzędnikom trzynastą pensję miesięczną, jako nadzwyczajny dodatek drożyznany. Nie jest jednak wykluczonem, że właśnie dlatego obiecał, gdyż wiedział już o końcu świata...

Koniec świata może więc nie będzie, będzie zato koniec zimy, aby się spełniło przysłowie „pierwsze koty za płoty“. Kto zbyt ostro z miejsca ruszy, staje często w drodze. Tak stać się może i ze zimą, a byłoby to bardzo pożądane.

Ale ja mam pecha!... Gdy to piszę, cały tydzień naprzód kapie z dachu, a nawet zawodowy meteorolog, nie zaś taki, jak ja, o domowym tylko wykształceniu, nie może powiedzieć, co będzie za siedm dni, ile razy odmieni się przez ten czas kierunek wiatru, a z nim pogoda, czy w chwili ukazania się numeru nie będzie co najmniej dwadzieścia pięć stopni niższe zera!

Czekajmy zatem cierpliwie, a przekonamy się, czy miał rację uczony amerykański astronom i czy spełnią się przewidywania kronikarza.

Zima ma jednak i swoje dobre strony, a jedną z nich, są imieniny świętego Mikołaja, przypadające właśnie w zimie, na dzień 6. grudnia.

Zacny ten mąż tem się różni od innych (i z tego powodu został świętym...), że, gdy inni w swe imieniny chcą tylko brać podarunki, on je rozdaje i dlatego to dzień ten oczekiwany jest z utęsknieniem tak przez dużych, jak i małych.

Pierwszą myślą po obudzeniu się w dniu 6. grudnia, jest sięgnięcie pod poduszkę, aby się przekonać, czy też się tam coś nie znajduje...

Przez pięć lat wojennych sięgał tam i kronikarz, ale napróżno, czy i w roku bieżącym spotka go zawód, tego nie wie, ale żyje nadzieją, że chyba już będzie lepiej. A ta nadzieja, to przecież dobry wynalazek!... Gdyby nie ona, niejednemu sprzykrzyłby się ten marny żywot i może sam nawet położyłby mu kres, ale tłumaczy sobie, że skoro się tyle już przetrzymało, należy wytrwać w oczekiwaniu „jeszcze troszkę“, choć ono zbyt się jakoś przeciąga.

Kto przez lat pięć dostawał od świętego Miko-

łaja figę, może się spodziewać, że przecież raz pod poduszką znajdzie zupełnie coś innego, a do czego dawno wzdycha.

Panuje w niektórych rodzinach zwyczaj, że przed świętami Bożego Narodzenia pisują dzieci listy do małego Jezuska, donosząc Mu, co byłoby dla nich najbardziej pożądanym podarunkiem, jaki ma przynieść im aniołek na gwiazdkę.

Gdyby tak można było napisać do św. Mikołaja, by go zawiadomić, czego najbardziej nam potrzeba, znaleźlibyśmy się w ogromnym kłopotcie, nie wiedząc, co wybrać, brak bowiem wszystkiego. A o wszystko prosić trudno. Nawet święty może się pogniewać i nie da nic.

Kronikarz układał sobie w myśli taki list, ale co jednego dnia wykombinował, to na drugi przekreślił, pokazało się bowiem, że to żądanie z drugiego dnia jest pilniejsze i że, bez tego obejść się trudniej. Pozostawiam zatem uznaniu św. Mikołaja wybór, nie tracąc nadziei, że bodaj w tym roku ów święty i dobroczynny mąż o nim nie zapomni, rozweseli jego duszę, wzmocni, okryje i ogrzeje zaś ciało, które z dniem każdym staje się coraz bardziej mdłe.

Czytelnikom życzy kronikarz, aby św. Mikołaj spełnił ich pragnienia i obdarzył ich prezentami, ale nie w guście n. p. karty cukrowej na grudzień, skoro się obecnie spożywa lipcowe słodkości, a na sierpniowe dopiero czeka!

Gdyby zaś kto z P. T. Czytelników miał ochotę zastąpić św. Mikołaja i przesłać kronikarzowi jakiś prezent niechaj wie, że odmowa go nie spotka! Wszelkie dary w stanie stałym i płynnym będą mile widziane, wykluczone są tylko lotne, a do nich należą właśnie obietnice. Gdyby kronikarz miał to, co mu kiedykolwiek obiecano (z wyjątkiem takich obietnic, jak polamanie kości i podobne...), byłby dziś panem całą głębią i smiał się z biedy, choć znów z drugiej strony godzi się z przykrą koniecznością i bodaj spi spokojnie, nie bojąc się, że mu rozkradną to, czego nie ma.

O! przybytku głowa nie boli, ale też i brak czegoś nie powinien być powodem bólu głowy w tych czasach, gdy złodziej na złodzieja jedzie i złodziejem pogania.

A już tak biednym i nieszczęśliwym jak nasi panowie restauratorzy, cukiernicy i kawiarze którzy musieli aż nawycić się tak radykalnego środka, jak strajku, by się ratować w ciężkiej chwili, pragnąłbym oyc z całego serca.

Biedacy ci, wyzyskiwani bezczelnie przez konsumentów, składających na ich ołtarz swój ciężko zapracowany grosz tak już obrzydliwie sobie ten nieprawdopodobny zawód, iż go zmieniają jeden po drugim. Dawni szynkarze i kawiarze są dziś właścicielami uóbr lub co najmniej kamienicznikami (ale dalej narzekają na ciężkie czasy i ratują się... paskiem), ich miejsce zajęli dawni płatnicy, przepoczwarczeni na właścicieli, na płatniczych awansowali kelnerzy, ubolewając nad tem, że nałożony na gości dziesięcioprocentowy podatek nie wystarcza im, wobec czego nie pozostaje nic innego, jak podnieść go na dwadzieścia pięć procent przy najmniej.

Aż się chce płakać gdy się patrzy na kłopoty i trudności z jakimi walczyć musi taki pan szykarz, czy kawiarz. I to za co?.. Za swoje dobre serce, że w tych ciężkich czasach nie pozwoli ludziom ginąć z głodu i pragnienia.

O ile nie ma swojej własnej kamienicy, musi płacić czynsz za lokal, światło, musi się starać o opał i towary, za które płaci drogo, ale bierze za to dzień i dwadzieścia razy tyle, powtarzając z płaczem:

— Mój Boże!... Gdyby to wróciły te dawne czasy, gdy herbatka z cukrem i cytrynką nie kosztowała mnie centa, a bratem za nią płacone było dwadzieścia! Dobrze przynajmniej, że mi goście bodaj służbę sami od siebie opłacają, bo inaczej przyszłoby marne zginąć!

A co wieczór, po obrachunku, gdy wyładuje portfel banknotami, tak że się zapląć nie może, dalej stęka i jęczy:

— Ale się to człowiek musi natrapić!... Ciężkie czasy. Niema dnia, aby człowiek nie dołożył!...

I dokłada w samej rzeczy, ale na książeczkę kasy oszczędności.

I nic też dziwnego, że w tak przykrem położeniu, gdy nikt się nie chciał ująć za nimi i podać pomocną rękę, musieli się ratować sami i w miarę zgodzie restauratorzy, szynkarze, cukiernicy i kawiarze ogłosili do swych gości list pasterski, zawiadamiając ogół, że z powodu krytycznych warunków aprowizacyjnych zmuszeni są podnieść ceny i proszą, aby się do tego zastosowano.

Ale ogół powiada, że już dłużej nie wytrzyma, że każdy zeń drze skórę, nie bacząc czy jej starczy, a władze... o dziwo!... ujęły się za ogółem, nie za nimi, biedakami i nie tylko zagroziły karami, ale ale nawet zaczęły je dyktować.

Wobec tego nie pozostało nic innego, jak ogłosić

strajk demonstracyjny, wywieszając na drzwiach lokal napis, że „z powodu braku środków aprowizacyi lokal zamknięty“. A ten brak przez dni kilka z rzędu powtarzał się, ale dopiero od godziny szóstej wieczór.

Pierwszego dnia były zamknięte prawie wszystkie lokale z wyjątkiem dwu, czy trzech, ale nie z tego powodu, jakoby właściciele ich kierowali się uczuciem litości nad tymi, którzy nie mają gdzie spędzić wieczoru. Bracia Boże!... O coś podobnego nawet ich nie można posądzać. Jeden miał otwarte, gdyż lubi z gośćmi pogwarzyć wieczorem o polityce, drugiemu żal było zarobku, trzeciemu kazała żona.

Na drugi dzień powtórzyło się to samo, z tą chyba różnicą, że większość lokali była od frontu zamknięta, ale wchód wolny od tyłu i lokal w półmroku.

Jeden z gospodarzy, zapytany, dlaczego tak polowicznie strajkuje, odparł:

— Na zewnątrz demonstruję!... Ale ja mam serce i ono mnie boli, gdy widzę, jak na tem cierpią moi bliźni!...

A dodać należy, że jest to człowiek „sercowy“ i musi na siebie uważać.

Najbardziej zrozpaczeni byli ci gospodarze, którzy do swych lokali mieli tylko jedno wejście od frontu. Tu już nawet serce nie pomogło. Trzeba było w oburzeniu na zarządzenie władz pozostać niewzruszenie.

Ostatecznie skończyło się na tem, że ofiarą władz i wyzyskującego ogółu stali się narazie ci dobrodzieje ludzkości, ratujący nas od głodowej śmierci. Narzekają też, że los ich prześladowcy, ale się tam pocieszają, że co się dziś nie stało, stanie się jutro, lub za tydzień. Magistrat zapomni o swej energii, oni powetują swe straty, a publiczność z pewnością się o to nie upomni. Mało to zresztą mają ludzie pieniędzy? A kto ich nie ma, niechaj siedzi w domu.

Za przykładem prywacypatów idzie i ich personal. Od piatniczego poczwasy, a na *piccolo* skończywszy, narzeka każdy na ciężkie czasy.

Gdy piatniczy, po obrachunku z gospodarzem, schowa do kieszeni tysiąc koron, ściągniętych z gości tytułem owego dziesięcioprocentowego „dobrowolnego“ podatku, powiada do siebie:

— I cóż to jest?... To jakby psn mucha!...

Piccolo zaś mając „tylko“ pięćdziesiąt koron dziennego zarobku, pociesza się myślą:

— Nawet mi na jedno popołudnie nie starczy! Ale ja sobie to kiedyś odbiję, niechno tylko zostaną piatniczym, a potem pryncypałem!...

Miałem zamiar zapisać nad dolą wszystkich razem i każdego z osobna, ale pomyślałem sobie, że lepiej będzie, jeśli zapłacę nad własną i każdego ze zwykłych śmiertelników, którym za młodu kazano się uczyć, aby na starość... biedę klepali.

I mimowoli porównałem los dwu osobników, którzy razem zasiadali na szkolnej ławie. Jeden z nich był uczniem celującym, drugi miał tylko figle w głowie, nic też dziwnego, że studia skończył na klasie pierwszej (ale z... trójką!...).

Pierwszy, zdawszy maturę, poświęcił się studiom filozoficznym i jest dziś profesorem gimnazjalnym, drugi próbował różnych zawodów, ostatecznie obrał sobie kelnerski, jako najbardziej odpowiadający jego usposobieniu.

Spotykali się nieraz obaj koledzy, przypominając sobie dawne lata, profesor, zasiadł nawet do egzaminu we fraku towarzysza z ławy szkolnej, gdyż samego nie było stać na podobny wydatek, a tamten był już piatniczym w kawiarni.

Dziś ta zachodzi między nimi różnica, że profesor dochrapał się osmej rangi i po tylu latach studiów i ciężkiej pracy zawodowej ma miesięcznie wraz ze wszystkimi dodatkami wojennymi coś około tysiąc siedemset koron, co na oko bardzo ładnie i imponująco wygląda, ale w praktyce zaledwie starczy na opędzenie najniezbędniejszych wydatków dla nielicznej rodziny. Kiepie też biedę i goni za lekcyami, jedyną zaś jego przyjemność stanowi odwiedzanie od czasu do czasu kawiarni swego kolegi, aby przy czystej herbatce i jednym ciastku przeczytać gazety i porozmawiać z ludźmi. A był piatniczy jest dziś właścicielem kawiarni, ma dwie kamienice, a obecnie traktuje o kupno majątku ziemskiego. Byłoby to już dawniej nastąpiło, ale na przeszkodzie stanęły ciężkie czasy.

I proszę mi powiedzieć, który z nich obrał lepszą drogę? Ja sądzę, że chyba ten drugi, choć stale narzeka na prześladowanie ze strony magistratu, wyzysk ze strony konsumentów i niewdzięczność społeczeństwa. I on „dokłada“ stale i on obecnie strajkował, ale gdyby mu kto zaproponował, aby się zamienił z kolegą, z pewnością się nie zgodzi, woląc cierpieć tak dalej aż do skutku.